

Świątynia Radża-Rani w Bhuwaneswar (do str. 213).

DZIŚ I JUTRO

DWUTYGODNIK DLA MŁODZIEŻY

ROK XIII POZNAŃ, 1 KWIETNIA 1937 NR. 14

Do Słońca

Spać! Po dwóch nocach w pociągu! Pół przytomnie patrzę z auta na ulice Rzymu. Wiem zresztą, że zostanę tu dłużej, więc zdążę się napatrzeć.

Dom, ten nowy, przybrany dom. Marmurowe schody, kamienne posadzki w pokojach. Drzewo tu drogie, robi się z niego to, czego się nie da zrobić z innego materiału; marmur stosunkowo nie drogi. W moim pokoju jest dość chłodno: pieca, naturalnie, nie ma, jest wprawdzie centralne ogrzewanie, ale u nas, w Polsce, choć z zewnątrz temperatura o wiele niższa, mieszkania są znacznie lepiej ogrzane. Kwestia przyzwyczajenia...

Przed zaśnięciem witam jeszcze z okna okwitające mimozy i drzewa migdałowe, obsypane różowo - lila kwiatami; przy moim łóżku stoją duże, ciemne, pachnące fiołki a na stole flakon delikatnych irysów — wszystko z ogrodu; podobno i róże kwitną teraz, kwitną zresztą cały rok.

Rzym chcę zwiedzać w tempie umiarkowanym. Studiuję przewodniki, układam plany...

Mój węzeł został rozcięty na parę tygodni, w przejeździe do Francji, zatrzymała się w Rzymie kuzynka moich gospodarzy i „z wieku i z urzędu" wypadało mi jej towarzyszyć w zwiedzaniu. Pomyślałam sobie, że trzeba raz zacząć!

Korzystając z pogody wyruszamy rano tramwajem do św. Pawła za murami. Wedle powszechnej opinii najpiękniejszy to kościół w Rzymie.

Ach, te tramwaje! Mam ochotę ułożyć pieśń na melodię: „O Neapolu, ty cudny kraju"... z tym, że: O ty tramwaju, trzęsący smoku, kto ciebie nie zna, ten nie zna tłoku"! Tramwaje są długie, dłuższe od naszych, warszawskich, a obie pary kół mają umieszczone blisko środka, co daje efekt skoków i wstrząsów takich, że utrzymanie równowagi fizycznej w pozycji stojącej staje się naprawdę sztuką! Pewną pomoc w tej sztuce — a równocześnie poważną przeszkodę w utrzymaniu równowagi duchowej — stanowi tłok. Zwłaszcza żołnierze pchają się okropnie! Jest ich tu pełno na ulicach. Nie umiem sobie tego wytłumaczyć; widocznie dają im ciągle jakieś spacery dla zdrowia, czy co? O każdej porze dnia, na każdej ulicy pełno ich, przy tym różnorodność ubiorów duża, fantastyczna nieraz: piloci na niebiesko, marynarka na granatowo, ale potem: różne peleryny, kepi lub kapelusze ze strusimi piórami, z małymi piórkami, kepi faszystowskie z czarnymi pomponami, spadającymi na ramiona itd. I... białe rękawiczki! Ponoć zaprowadził to Duce, a rękawiczki dlatego właśnie przepisane są białe, żeby były — białe! (czyste)!

Również białe, do łokcia sięgające rękawiczki mają policjanci, regulujący ruch. Noszą przy tym czarne kapelusze i peleryny, co wygląda bardzo uroczyście... Gestykulują energicznie — widocznie żywi Włosi kompensują sobie w ten sposób nieruchome stanie.

Pierwszym słowem włoskim, którego nauczyłam się jeszcze w wagonie, było: „permesso". Znaczy ono tyle, co francuskie „permettez". Słyszy się je ciągle, z prawej, z lewej strony, równocześnie z namacalnym dowodem, że — ludzie mają łokcie. Z chwilą, gdyś wyrzekł sakramentalne „permesso" — możesz się pchać, ile chcesz, czy ile trzeba... Podobno nawet bez tego dalszego ciągu „permesso" jest nieważne. Nauczyłam się już mówić biegle „permesso".

Tramwaje są tanie, 30 centimów normalny, 40 cent. t. zw Circolare, którym można objechać całe miasto, chodzą dobrze i jest ich dużo.

Jedziemy tedy do św. Pawła za murami. Mijamy szereg ulic, kilka bram w starożytnych murach, przejeżdżamy obok ruin „Złotego domu" Nerona i Koloseum, potem wzdłuż drogi try-



Rzym. Bazylika św. Pawła za murami.

umfalnej, przecinamy nowoczesną dzielnicę dziennikarzy i wyładowujemy się z trudem przy Porta Ostiensis, aby zmienić tramwaj.

Brama — starożytna. Przy niej piramida Cestiusa. Był to podobno jakiś kapłan — zachciało mu się piramidy! Piramida ma 37 m wysokości, podstawę kwadratową o boku 29 m. Jest ona kilka metrów poniżej poziomu ulicy i tam, w obmurowanej fosie znajduje się kilkadziesiąt kotów! Kociska wszelkiej maści zajadają coś gorliwie ze zwojów papieru lub krążą, unosząc ślepia ku górze. Wyglądają bardzo mało sympatycznie.

Dowiedziałam się później, że w Rzymie koty cieszą się wielką sympatią i dawniej przy Panteonie, przy Kapitolu itp. były „schroniska" dla kotów, którym mieszkańcy miasta przynosili jedzenie. Obecnie jedno z takich schronisk jest właśnie przy piramidzie Cestiusa. Szkoda, że nie wrzucono tam wszystkich kotów z całego Rzymu, bo co rusz to jeszcze potem z pod ruin, z pod kościołów, wyłaziły ku nam koty i łasiły się o jedzenie. Raz w Watykanie przed jednym tylko domem urzędników naliczyłam sześć wygrzewających się w słońcu kotów!

Ale za to psów tu mało! Po naszych ślicznych psiskach z ulic Warszawy — tu nic! Czasem jakiś kundel, przywiązany do wózka z warzywami. Raz na tydzień spotyka się kogoś z ładnym psem!

Wracając do naszej wędrówki: pakujemy się do drugiego trzęsącego smoka i za kilka minut jesteśmy u celu.

Zachodzimy od strony autostrady, prowadzącej do Ostii. Jest na co patrzyć! Co za kolumnada dziedzińca, jaka świeżość mozaiki nad wejściem do kościoła! A wnętrze! Trudno opisać; dla mnie streszcza się kościół św. Pawła w jednym wyrazie: harmonia! Idealna harmonia proporcji, linii, barw. Przez agatowe tafle okien sączy się światło złoto-rdzawe na biel kolumn, na złoto mozaickie. Co za marmury, alabastry, malachity! — A krużganki klasztoru Benedyktynów, obsługujących kościół! Błękit

nieba, intensywna zieleń ogrodu — i na tym tle biel i subtelna lekkość kolumn! W całym kościele i obok niego nie ma ani jednego szczegółu banalnego, nie artystycznego!

Wracamy tą samą drogą ku Koloseum. Patrząc na tego kolosa[1]) (stąd nazwa) myślę ile tysięcy niewolników musiało pracować nad jego wzniesieniem, jeżeli zbudowano go w 8 lat. Znaczna część Koloseum jest zbudowana z bloków kamiennych, nie spawanych zaprawą murarską, a podtrzymujących się wzajemnie siłą ciężkości. Co za sztukę budowania posiadali starożytni! Koloseum mogło pomieścić 80 tysięcy widzów! Obecnie odbywają się tu czasem koncerty; wieczorem przy świetle księżyca daje to podobno efekty zupełnie fantastyczne!

Warkot autobusu! Czerwony smok staje, sapiąc benzyną. Znam już te czerwone autobusy: są one przeznaczone dla wycieczek, a więc w 95% dla cudzoziemców. Wysypuje się gromada ludzi. Przewodnik szybko, patetycznie objaśnia, a potem dyskretnie ziewa w cieniu arkady. Aparaty fotograficzne celują w prawo i w lewo. Zawsze i wszędzie obecni tu handlarze pamiątek z Rzymu opadają wycieczkę, jak chmara brzęczących komarów. Zachwalają swe skarby strzępami kilku języków, wśród których dominuje włoski język z włoską gestykulacją i natarczywością! Cicerone daje sygnał odwrotu, „esterni"[2]) jadą zwiedzać „resztę" Rzymu. Muszę kiedyś wybadać, jaką porcję zwiedzania przeznacza się tym biedakom na jeden dzień, jeśli ich pobyt w Rzymie jest krótki?

W Koloseum zostaje kilka zwiedzających osób (nigdy nie ma godziny ani niemal minuty bez zwiedzających) — i afekt handlarzy pamiątek przelewa się teraz na nas. Ale odprawiamy ich energicznie. (Swoją drogą, żal mi zawsze wszelkich handlarzy ulicznych i z Rzymu, i z Warszawy, i z Krakowa, bo to marny los, zarabiać tak na swe życie. Ale niepodobna u wszystkich kupować, bo by się już zaraz po pierwszym każdego miesiąca musiało wieść żywot Diogenesa.)

Szukam jakiejś kruszącej się cegły, by mieć pamiątkę „prawdziwą" z tego miejsca, uświęconego męczeństwem tylu pierwszych chrześcijan. Ze wzruszeniem patrzę na „wrota śmierci", którymi wchodzili oni na arenę i oglądam kilkupiętrowe sklepienia podziemi, w których trzymano zgłodniałe, dzikie bestie...

Wyszperałam w jakiejś książce ciekawą dla mnie z punktu widzenia obyczajowego wiadomość, że już za czasów chrześcijańskiego Rzymu, w r. 404, jakiś mnich, Telemach, ośmielił się kiedyś wystąpić na środek areny Koloseum, by w imię uczuć i godności ludzkiej zaprotestować przeciw okrutnym, zakorzenionym wiekami walkom gladiatorów. Oburzony tłum, zawsze głodny igrzysk, rozszarpał mnicha na miejscu. Ale skutek, przynajmniej częściowy, został osiągnięty. Walki z dzikimi zwierzętami znikły w sto lat później...

Zawracamy na prawo, by zwiedzić ruiny Forum Romanum. Z ruin niewiele zostało. Jak imperatorowie grabili prowincje, by budować i zdobić Rzym, tak ich następcy brali co się dało, z pałaców i świątyń: kolumny, marmury ścian i posadzek, nie mówiąc już o posągach itp.; brali, aby budować nowe pałace i nowe świątynie. To też na miejscu zostało niewiele: tu parę kolumn, tam kilka tafli posadzki, gdzieniegdzie większy zwał ruin. Po drodze do Forum mijamy łuk Konstantyna. Całość łuku wskazuje, że sztuka była w okresie upadku, ale uderza nas parę ładnych fragmentów... Te ładne posągi ściągnięto poprostu z łuku Trojana, który zwalono w tym celu. Rzeczywiście historia kołem się toczy!

J. Szarska.

---

[1]) Elipsa o średnicy większej 188 m. średnicy mniejszej 156 m. wysokości 49 m

[2]) cudzoziemcy.

Naśladowanie natury

Na jednej z wystaw zdarzyło się, że ktoś z widzów wszedł w jeden z obrazów na którym były namalowane drzwi do sąsiedniego pokoju. Za rozdarte płótno obrazu nie żądano jednak od niefortunnego widza odszkodowania. Winnym uznano bowiem artystę, który tak świetnie „udał" swoim malowidłem rzeczywistość, naturę, że spowodował przekroczenie przez widza granicy między naturą a sztuką.

Przekroczenie? — oczywiście, ale z czyjej strony. Ze strony artysty, który źle zrozumiał na czem może polegać naśladowanie natury.

Jeżeli w sklepie z owocami sprzedanoby wam owoce z wosku lub gumy udające prawdziwe owoce, uznalibyście to za nieuczciwość. W wypadku udania prawdziwego pejzażu, przez malowidło nie można wprawdzie mówić o nieuczciwości, ale należy mówić o niewłaściwości.

Niewłaściwością bowiem jest udawanie przez drzewo prawdziwe, drzewa namalowanego i naodwrót. Obowiązują tu prawo odwrotności zasady. Dwa razy trzy jest sześć i trzy razy dwa jest także sześć.

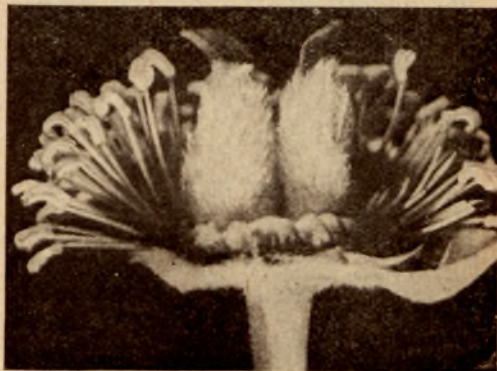
Udawanie, to co innego, a naśladowanie to co innego. W udawaniu może się mieścić zamierzenie oszustwa. W naśladowaniu jest potrzeba, a czasami nieodzowność wzorowania się. Nie powtarzania wszakże, ale raczej brania przykładu. I w tym sensie sztuka ma prawo, a być może nawet i obowiązek naśladowania natury.

Spojrzyjcie na świątynię Radża-Rani w Bhuwaneswar, czy budowla ta (nawiasem mówiąc w równej mierze będąca rzeźbą co architekturą) jest naśladowaniem przyrody. W sensie pokrewieństwa zasad tak, ale nie z punktu widzenia podrabiania.

Jestem pewien, że żaden słoń napotkawszy tę świątynię nie będzie usiłował jej zjeść myśląc, że to jest owoc n. p. ananasa.

A jednak, nie udając natury, budowla ta nosi ślady pokrewieństwa z nią.

Wskażę na dwa z nich zasadnicze.



Kwiat w przekroju.

Pierwszy to zasada symetrii.

Jeżeli przeprowadzimy pionową linię od szczytu gmachu aż do podnóża, to możemy stwierdzić, że z prawej strony jest tak samo, jak z lewej. Tak samo, ale nie to samo. Wypukło-rzeźby w dolnej części świątyni są różne. Tylko ich układ, proporcje, są utrzymane w jednej skali. A więc symetria!

To prawo natury. Miliardy kwiatów świadczą o tym ponad wszelkie wątpliwości nieodparcie. Sam człowiek ma przecież dwie ręce, dwie nogi, dwoje uszu, jest krótko mówiąc symetryczny.

Nie chodzi rzecz prosta o powszechność i pedantyczność stosowania tego prawa. Drzewa, liściaste nie są symetryczne, organy wewnętrzne człowieka także, koryta rzek, kształty lądów także.

Chodzi o to, że prawo symetrii istnieje w naturze i nie stanowi wynalazku człowieka. Człowiek je tylko ujął w rygory matematyczne jak np. w ornamentach.



Kolumna ze wschodniej bramy. Słupy w Sanczi w Indiach.

Zestawienie kwiatu z ornamentem mówi samo za siebie.

Ale wracajmy do naszej świątyni w Indiach.

Drugim śladem pokrewieństwa z naturą, jest w niej bujność szczegółów. Niektórzy odczuwają to nawet jako przeładowanie, wybujałość i uważają to za cechę wschodu.

Musi jednak ta cecha nie być obca zachodowi także, skoro stworzono tam kościoły gotyckie i barokowe, oszałamiające bogactwem szczegółów nie mniejszym niż w świątyniach hinduskich.

Jest w tym, jak sądzę, pokrewieństwo z przyrodą. Dość zaszyć się w gąszcz leśny, albo leżąc na łące wpatrzeć się w plątaninę roślin. Można więc iść za czyimś przykładem, naśladować go, ale nie udawać, nie podrabiać. Bo przecież wspomniana świątynia nie udaje ani kwiatu choć jest symetryczna, ani puszczy leśnej choć jest bujna w szczegółach.

Na zakończenie zerknijmy jeszcze okiem na dwie kolumny.

Jedną z Egiptu, drugą z Indyj! Obydwie są bardzo piękne — każda w swoim rodzaju. Każda ma inny charakter.

Charakter ten jest wyrazem typów psychicznych twórców tych rzeźbiarsko-architektonicznych utworów.

W kolumnie egipskiej widoczna jest skupiona powaga, uroczysta i niewzruszona.

W indyjskiej uderza nastrój nawału, plątaniny.

Jeżeli chodzi o zestawienie z przyrodą to kolumna idyjska jest pewnego rodzaju echem przyrody właśnie indyjskiej, zaś egipska — egipskiej. Ale to echo jest czemś przeinaczonem.

Jakkolwiek bez zająknienia dopatrzycie się w jednej i drugiej kolumnie motywów roślinnych, ani na chwilę mimo to nie ulegniecie złudzeniu że są to rośliny prawdziwe.

W obydwu przypadkach bowiem kształty roślinne są jedynie motywami dekoracyjnymi.

To znaczy, że wyciągnięto, żeby tak niezręcznie powiedzieć, z kształtów roślin pewien sens, pewien ład, pewne zasady, wedle tych zasad ukształtowano coś, co jakkolwiek na temacie roślinnym oparte, jest czemś innym niż roślinna — jest rzeźbą, ściślej — płaskorzeźbą, jeżeli chodzi o kolumnę indyjską.

Jest to ład matematyczny, którego cechą zasadniczą jest rytm powtórzenia. Najprostszą formą powtórzenia jest symetria.

Ale czas kończyć.

Więc wyobraźmy sobie teraz, że jakiś matematyk-rysownik przy pomocy ekierki i cyrkla komponuje

pewne układy linii prostych i krzywych.

A potem każda kompozycja linearna, jest dostarczona (w kopiach) rozmaitym wykonawcom dla zrealizowania ich „w materiale".

A więc rzeźbiarzowi, malarzowi, inżynierowi, ogrodnikowi, elektrotechnikowi i innym.

Wtedy każdy z nich będzie ucieleśniaczem jakby tych oderwanych geometrycznych projektów.

Ale możemy sobie wyobrazić, że jeden z ucieleśniaczy specjalistów potrafił te projekty „zrobić" z tkanki rośliny. I że w rezultacie swej pracy stworzył kwiaty, liście, owoce. A także, że stworzył potem jeszcze motyle i pszczoły, muchy i chrabąszcze. Ba, że stworzył przyrodę!

Czy to znaczyłoby, że tamci inni — naśladowali ją?

Nie.

Oni tylko tworzyli swoje dzieło wedle tego samego sensu, planu, zasady.

I jeżeli można by tu mówić o naśladownictwie to jedynie wobec owego matematyka-rysownika.

To też, jeżeli artyści tworzą swe dzieła za przykładem przyrody — nie naśladują jej samej, ale postępują wzorem jej Twórcy, jej Kompozytora, jej Projektodawcy.

I niema w tym nic szczególnego, niewłaściwego, sensacyjnego, ani też niedorzecznego.

Są przecież sami stworzeni przezeń na Jego obraz i podobieństwo!

*

Tak oto wygląda sprawa naśladowania natury w sztuce. Ktoś, kto chce ją nie naśladować, ale udawać, unosi się pychą, sądzi, że może dokonać czegoś, co jest poza jego ludzką mocą. Każdy bowiem najzręczniej udany przez malarza kwiat jest niedołężnie marny wobec prawdziwego.

I nie dlatego się też kwiaty maluje, żeby nimi zastępować prawdziwe, bo to daremny trud.



Kolumna egipska.

Ale popatrzcie, jakie piękne — jako dzieła sztuki — są kwiaty na kolumnie indyjskiej — właśnie dlatego, że nie udają prawdziwych.

T. Cieślewski, Syn.

CZY WIECIE, ŻE...

.. rząd polski zawiadomił oficjalnie Rumunię o planie budowy kanału, łączącego Wisłę z Morzem Czarnem? Koszt budowy ma wynosić około 35 milionów złotych. Nowa droga wodna przez Wisłę — San — Dniestr — Prut — Dunaj do Morza Czarnego przez połączenie kanałami Sanu z Dniestrem i Dniestru z Prutem będzie miała wielkie znaczenie dla handlu europejskiego. Odległość Londynu od Odessy przez Gibraltar wynosi 6880 klm. przez Wisłę i San będzie prawie o połowę krótsza.

Król dynamitu

Co roku przypomina się światu nazwisko Alfreda Nobla, kiedy nadchodzi okres przyznawania nagród jego imienia, pisarzom, uczonym i działaczom politycznym za wyjątkowo doniosłe prace i dzieła.

O ile jednak sława i rozgłos laureatów Nobla stają się coraz powszechniejszymi, o tyle losy wielkiego założyciela fundacji Nobla, zapadają coraz bardziej w mrok przeszłości.

Ojciec jego, Emanuel, był wybitnym architektem. Sława jego osiągnęła punkt kulminacyjny, gdy został zaproszony do Rosji, dla kierowania tamtejszym przemysłem. W r. 1833 przyszedł na świat jego syn Alfred. Ledwie osiągnął lat 16, został pomocnikiem ojca w biurze rosyjskim. W rok potem jedzie Alfred do Nowego Jorku, na praktykę do słynnego szwedzkiego konstruktora okrętowego, Ericsona.

Po czterech latach pracy wraca do Rosji, znajdującej się w ogniu wojny krymskiej, która przynosi kres sukcesom Noblów. Rosja woli zaopatrywać się w materiały wojenne u niedawnych wrogów.

Noblowie powracają do swej ojczyzny, Szwecji. Zakładają fabryczkę materiałów wybuchowych. Alfred usiłuje wprowadzić na rynek swój model gazomierza. Usiłuje zainteresować finansjerę paryską swymi pomysłami. Wszystko bez powodzenia.

Udało się wreszcie Alfredowi dotrzeć do cesarza Napoleona III. Dzięki jego poparciu otrzymuje 100.000 franków na budowę fabryki.

Rozpoczyna pracę od badań nitrogliceryny. Pragnie ten świetny środek wybuchowy pozbawić własności trujących dla otoczenia. W roku 1864 otrzymuje Nobel patent na ten wynalazek. Ale oto pewnego dnia wylatuje w powietrze fabryka Nobla, a pod jej gruzami ginie obok wielu robotników jego rodzony brat. Ta katastrofa wzburzyła społeczeństwo szwedzkie. Rząd odmówił Noblowi pozwolenia na budowę nowej fabryki w pobliżu Sztokholmu. Inne części kraju czynią podobne utrudnienia.

Wobec tego, iż nie wolno mu zbudować warsztatu pracy na lądzie, buduje Nobel na wodach jeziora Mälar, z daleka od brzegu, na starym statku, pracownię eksperymentalną. Wynalazek Nobla zdobywa sobie powoli rynek amerykański. Znajdują się kapitaliści, finansujący imprezy Nobla: Amerykanie, Niemcy i Norwegowie. Równocześnie przypadek przychodzi mu z pomocą.

Podczas badania nitrogliceryny rozbiła się butelka z tym płynem, który wsiąknął w materiał używany do opakowywania butelek. Powstała stąd mieszanina, pewnego rodzaju porowata masa. Nobel po paru eksperymentach, przekonał się, że posiada w ręku materiał wybuchowy o niespotykanej dotąd sile. Szuka więc takiej masy, któraby sprawnie wchłaniała nitroglicerynę. Znajduje ją w postaci pewnego gatunku ziemi w Niemczech. Tak urodził się dynamit.

Powstaje paradoksalna sytuacja. Szereg straszliwych klęsk wywołanych wybuchem dynamitu, staje się najlepszą reklamą dla nowego wynalazku Nobla! Zaczęło się od eksplozji w pewnym hotelu nowojorskim, gdzie zatrzymał się jakiś kupiec niemiecki i pozostawił u portiera parokilogramową butelkę z nitrogliceryną. Poczciwy portier używał tej paczki za krzesło, a potem za podstawę dla czyszczenia butów. Któregoś dnia zauważył, że ze skrzynki wydobywa się dym. Wyniósł ją więc na ulicę a sam uciekł do hotelu. Rozległ się huk. Na ulicy powstała wielka wyrwa, wszystkie szyby w dzielnicy powylatywały z okien, a fasady domów ucierpiały porządnie.

Gorszą była katastrofa, która wydarzyła się na statku wiozącym 100

beczek dynamitu do Peru. Przed wjazdem do portu statek wyleciał w powietrze. Ze statku i z 50-u osób nie pozostało dosłownie śladu. Następują wybuchy z San-Francisco, w Sydney, gdzie ginie 15 osób, wreszcie wylatuje w powietrze niemiecka fabryka Nobla pod Hamburgiem.

Zaczyna się panika. Przedstawiciele Nobla meldują o powszechnym lęku przed dynamitem, o odmowach statków ładowania, o wyrzucaniu dynamitu do morza. Ten okres baisse'y w interesach Nobla przerywa wiadomość jego agenta z San Francisco: „Central Pacific Railroad, największe towarzystwo budowy kolei potrzebuje 300 beczek dynamitu dziennie. Przyjeżdżać niezwłocznie".

Nobel jedzie do Nowego Jorku. Żaden hotel nie chce mu udzielić gościny, obawiając się, że przywiózł dynamit w swych walizkach. Ale interes udaje się. Nobel zawiązuje amerykańskie towarzystwo produkcji środków wybuchowych, słynny United States Blasting Oil Company.

Nadchodzi okres podboju świata, sukcesu sławy i pieniędzy. Nobel przystępuje do organizowania swej potęgi.

Nobel wynajduje szereg nowych rzeczy: żelatynę dynamitową, kocioł parowy bez niebezpieczeństwa wybuchu, hamulec automatyczny, wreszcie proch bezdymny „Ballestit", który na całym świecie wypiera dotychczas używany proch dymiący.

Międzynarodowość przedsiębiorstw Nobla sprawiła, że stał się jak gdyby obywatelem świata całego. W Szwecji przebywał bardzo mało. Dłuższy okres życia spędził w Paryżu. Założył Nobel pod Paryżem wielkie laboratorium, połączone z biurem porad technicznych dla wszystkich jego fabryk.

Dla swobodnych eksperymentów kupuje Nobel wielką fabrykę armat w Szwecji i w otoczeniu sztabu asystentów pracuje nad morderczymi narzędziami wojny, będąc już zresztą podówczas przekonanym pacyfistą. Przy pracy w laboratoriach w willi „Mio nido" zastaje go śmierć w roku 1896.

Autorka głośnej książki pacyfistycznej, baronowa Berta Suttner, była tym człowiekiem, którego poznanie było momentem zwrotnym w życiu Alfreda Nobla. A stało się to w następujący sposób. W r. 1876 ukazało się w pewnej wiedeńskiej gazecie ogłoszenie: „Bardzo bogaty, wykształcony starszy pan, w Paryżu, poszukuje sekretarki, pani w odpowiednim wieku, władającej kilku językami". Na to ogłoszenie odezwała się hrabina Berta Kinsky, późniejsza baronowa Suttner. Jakież było jej zdumienie, kiedy po przyjeździe do Paryża przekonała się, że tym starszym panem jest słynny Alfred Nobel.

W swych pamiętnikach opowiada Berta Suttner o Noblu, jako o czarującym człowieku, który z zaufaniem pokazywał jej swoje ukryte przed okiem świata prace literackie i opowiadał o swym marzeniu: wynalezieniu takiego środka wybuchowego, który raz na zawsze uniemożliwi wojnę. Układa się między niemi coś w rodzaju życzliwej przyjaźni. Ale oto interesy wzywają Nobla do Szwecji. Berta Kinsky wraca do Austrii, poślubia barona Suttnera i wyjeżdża z nim na Kaukaz.

Jednak kontakt listowy baronowej Suttner z Noblem trwa długie lata i bezsprzecznie wpływa na Nobla w kierunku jego przemiany duchowej. Nobel w dalszym ciągu prowadzi życie samotnicze, zjawiając się tylko od czasu do czasu w salonach słynnej w Paryżu pani Adam, gdzie gromadzi się kwiat literatury francuskiej i gdzie młodzi politycy marzą o rewanżu za rok 1871. Tam słyszy Nobel całą prawdę o swoich wynalazkach, widzi komu i do czego będą służyć.

W r. 1890 ukazuje się głośna powieść baronowej Suttner „Precz z orężem". Nobel gorąco powitał ukazanie się tego utworu i przysłał baronowej

pewną sumę na cel jej organizacji pacyfistycznej. Wymiana myśli z baronową Suttner uczyniła swoje; w listach swych zapowiada Nobel stworzenie nagrody pokoju.

Nobel pozostawił po sobie majątek, wynoszący przeszło 30 000 000 koron szwedzkich. Pieniądze te przeznaczył na utworzenie fundacji. Procenty od kapitału winny być co rok rozdzielane pomiędzy najwybitniejszych wynalazców w dziedzinie chemii, fizyki i medycyny; czwartą nagrodę przeznacza Nobel dla pisarza, który napisał wybitne dzieło w duchu idealistycznym, piątą — dla człowieka, który zdziałał wiele dla przyjaźni między narodami i dla idei pokoju. Opiekę nad fundacją i przydziałem nagród objęła Akademia Szwedzka. Po raz pierwszy udzielono nagród w roku 1901. Otrzymali je: Rentgen, wynalazca promieni X, chemik van Hoff i Emil Behring, wnalazca szczepionek przeciw dyfterytowi. Nagrodę literacką otrzymał pisarz francuski Sully Prudhomme, a nagrodę pokoju założyciel Czerwonego Krzyża, szwajcar Dunant i Fryderyk Passy, twórca francuskiego towarzystwa pokoju. Z rodaków naszych otrzymali nagrodę Nobla: Maria Skłodowska, Sienkiewicz i Reymont.

Marzenna Saryusz-Stokowska.



Z SERCEM NA DŁONI

Otwarłem serca mego szerokie wierzeje,
Już smutku nie zaznaję, jeno radość błogą:
Uśmiecham się do świata, świat się do mnie śmieje.
Dziwno mi, że są ludzie, co się smucić mogą.
Zapomniałem już bowiem tej chwili kalekiej,
Kiedy śmiech był mi wówczas, jak dziś — płacz, daleki.

Zasklepiłem się w serca głębokiej otchłani,
W której szukałem źródła szczęścia nieznanego
I znalazłem tęsknotę, i znosiłem dla niej
Wszystkie pragnienia mego ducha młodzieńczego.
A tęsknota je brała i niosła jak dzika:
Choć marzyłem o szczęściu, czułem jak ucieka.

Aż w końcu zrozumiałem, że nie w serca ciemniach,
Kędy wszystkie pragnienia, czucia nic nie warte,
Bo każda myśl się jasna mrokiem tam wypełnia:
Jeno z sercem, jak wrota gościnne, rozwartem
Uczynić mogę temu, czego pragnę, zadość.
Nie smutek daje szczęście, lecz pokój i radość . . .

Wiesław Pyrek.

Dom na Lesznie pod numerem 23...

Żółte ogrodzenie... małe drzwiczki w parkanie... i grupki nędznie ubranych kobiet cisnących się przy wejściu...

To dom noclegowy, — Leszno 23, schronienie dla bezdomnych kobiet.

Owinięta w chusty odźwierna daje baczenie na wchodzących.

W małym okienku kancelaryjnym ukazuje się raz po raz nędzna, zabiedzona twarz kobieca. Drżące niepewnością palce wyłuskują z brudnych szmat i węzełków groszaki*) przeznaczone na opłacenie noclegu i podarty strzęp dowodu osobistego. Zdarza się, wcale nierzadko, że czerwone, spękane od mrozu ręce szperają długo i bezradnie w tłomoku, nie mogąc znaleźć grosika. Wtedy płynie błagalny, nieśmiały szept:

— Nie mam, dziś nie mam nic, — jutro za oba razy zapłacę...

Dziesięć groszy, to czasem cały majątek; — to noc spędzona w cieple pod zakrytym dachem, — to gorąca woda do picia i parę godzin spokoju. Ale przychodzi jutro i pojutrze, a pieniądze wciąż dają czekać na siebie, a mimo to noclegu nikomu się nie odmawia. Bo i ktoby tam taką nędzotę odpędzał od proga. A ona wciąż obiecuje zapłacić...

„Pani zarządzająca" zakładem noclegowym zdaje się mieć serce miękkie jak wosk, ale rękę mocną i twardą. Nic dziwnego zresztą, taką „czeladkę" trzeba umieć trzymać w garści. Trzysta pięćdziesiąt osób mieści noc w noc zakład na Lesznie, trzysta pięćdziesiąt istot znękanych, pozbawionych pracy i dachu nad głową, wykolejonych i zdemoralizowanych włóczęgą i bezrobociem, a nierzadko podlegających złym nałogom. „Pani zarządzająca" zna wszystkie niemal przygodne „mieszkanki" zakładu. Nie na próżno spędziła wśród nich tyle lat ciężkiej pracy. Zna je nie tylko z widzenia i nazwiska... Umie też do nich przemówić. Jej ostry, burkliwy głos, jej rubaszne żarty trafiają im do przekonania i umieją wywołać blady uśmiech na zgnębionych, zżartych głodem i nędzą twarzach:

— Co, Malinowska jeszcze tu? — woła „pani zarządzająca" na widok małej, szczupłej kobieciny, ukazującej się w okienku, — mówiłam przecie, że was nie chcę więcej widzieć na oczy!

— Tylko jeszcze ten jeden raz, paniusiu, tylko jeszcze ten jeden raz... może jutro już sobie co innego znajdę...

— Malinowska, ej Malinowska, od paru miesięcy co noc was tu widzę, aż mi się od waszego widoku odcisk zrobił na oku. A przecie w regulaminie wyraźnie napisane, że zakład udziela noclegu tylko na dwa tygodnie... Czytaliście regulamin? — pyta już całkiem groźnie.

— Czytałam, a jakże czytałam, potwierdza kobiecina skwapliwie.

— No to... idźcie na górę, — kończy w odmiennym już tonie „pani zarządzająca" — ale jutro...

— Wiem, wiem, proszę paniusi, wiem — odpowiada Malinowska szybko, czmychając co sił na górę.

Och, wie, wie oczywiście dobrze, że i jutro także, choć „pani zarządzająca" tak srogo toczy oczami i groźnie potrząsa palcem, — jeżeli wszystko inne zawiedzie, tu znajdzie przytułek i schronienie.

— Duch Aniela pada dalej od okienka.

— Patrzcie no, duch się tu plącze nie wiem czego, — dogaduje „pani zarządzająca" wesoło — jeszcze jego nam tu do kompanii braknie...

Młoda, hoża dziewczyna, porwawszy bilet wejścia z rąk sekretarki, biegnie na salę, zatykając ze śmiechu usta rękoma.

---

*) Opłata wynosi dziesięć groszy.

Ale wszystkie miejsca są już zajęte, a bezdomne nie przestają napływać... pojedyńczo już co prawda i coraz rzadziej.

— Ja tylko na jedną noc, — doprasza się każda żałośnie.

„Pani zarządzająca" kiwa siwą głową. Jak ona to dobrze zna! Każda mówi to samo, a jak się raz dostanie, gotowa przesiedzieć i pół roku. I co tu się dziwić wreszcie! Ale miejsc leżących naprawdę już nie ma, pozostało ledwo parę siedzących. I na to jednak godzą się wszystkie bez protestu:

— To i cóż, przesiedzimy — odpowiadają z prośbą w głosie — zawsze będzie nam cieplej i wygodniej, jak na ulicy.

— No to cóż z wami począć, idźcie z Bogiem na górę!

— Dziękujemy pani, dziękujemy, my tylko ten jeden raz, aby tę jedną noc przebyć...

Odgłos kroków milknie za ścianą, głosy oddalają się coraz bardziej...

Punkt dziesiąta małe okienko w kancelarii opada. Zapisy i przyjęcia skończone. Nad zakładem dla bezdomnych zapada noc...

— — — — — — — — — — — — —

Zasób wiadomości o różnych instytucjach społecznych i dobroczynnych jest wśród szerokich mas społeczeństwa bardzo ograniczony. Ten i ów słyszał coś nie coś o domach noclegowych, wielu czytało o nich w gazetach, pojęcia jednak o istocie i założeniu tych zakładów są bardzo mgliste i niepewne.

Pierwszym człowiekiem w Polsce, który zainteresował się głębiej domami noclegowymi, znajdującymi się wówczas w straszliwym zaniedbaniu i który pracę całego życia poświęcił na zreformowanie ich i postawienie na odpowiednim poziomie, był Adam Chmielowski, znany powszechnie pod imieniem brata Alberta. Założył on specjalny zakon do opieki nad bezdomnymi. Oprócz domów noclegowych prowadzonych przez braci Albertynów i siostry Albertynki, istnieją również zakłady miejskie, których kierownictwo naczelne spoczywa obecnie w rękach Wydziału Opieki Społecznej i Zdrowia Publicznego i one to głównie potrzebują poparcia i czynnej pomocy społeczeństwa. Bo jeśli bezdomni, chroniący się pod dach Albertynów, znajdują u nich obok wsparcia materialnego i opiekę duchową, to zarząd zakładów miejskich, składający się z ludzi świeckich, pochłoniętych pracą administracyjną, nie jest w stanie zapewnić bezdomnym kierunku duchowego, którego ci biedacy, za obręb życia wyrzuceni, przez wszystkich opuszczeni, bardziej od innych potrzebują. Ażeby nie pozostawiać ich w zaniedbaniu, konieczna jest w takich zakładach współpraca ludzi prywatnych świeckich i duchownych. Nad domem noclegowym na Lesznie, objął opiekę Związek Czcicielek Serca Jezusowego; opieka ta polega na tym, że panie obejmują w pewnych godzinach dyżur na sali, wygłaszając odczyty, pogadanki, lub czytając jakąś starannie dobraną książkę. Niestety i o tej pracy da się powtórzyć to, co się mówiło już niejednokrotnie o innych placówkach społecznych. — Żniwo jest wielkie, ale pracowników mało...

Smutny widok przedstawia „sypialnia" w domu noclegowym.

Ogromna sala*) wypełniona szczelnie tapczanami bez sienników i pościeli... Na prostych, drewnianych pryczach leżą i siedzą wynędzniałe postacie kobiece... Niektóre z nich trzymają małe dzieci na kolanach.

Kto tego obrazu własnymi oczami nie widział, ten nawet w przybliżeniu nie zdoła sobie wystawić wrażenia, jakie wywiera na zwiedzającym taki zakład.

Pomimo ładu i wzorowej czystości — nędza, okropna, beznadziejna nędza wyziera z każdego kąta, z każdej twarzy, z każdego strzępu łachmana

podłożonego pod głowę zamiast poduszki.

Trzeba wniknąć głęboko w sens słowa „dom noclegowy", ażeby zrozumieć w całej pełni jego znaczenie. Dom noclegowy — to chwilowy przytułek dla bezdomnych, dla tych, którzy stracili własny kąt, żyją z dnia na dzień bez jutra, opuszczają co rano schronienie, by w deszcz, śnieg, czy wichurę snuć się po ulicy bez celu, bez nadziei, jak psy bezpańskie potrącani.

Bo znaczna większość „mieszkańców" domu noclegowego to bezrobotni. Wyrobnice i służące bez pracy to główny element w przytułku na Lesznie. Czasem trafi się jakaś zredukowana pielęgniarka, czy wychowawczyni. Takiej jest jeszcze gorzej... Mocniej od innych odczuwa beznadziejność swego położenia i chciałaby najgłębiej ukryć swą nędzę przed każdym ciekawym okiem.

Opieka Społeczna dostarcza bezdomnym kartek na obiady i ma też w programie pomoc w znalezieniu pracy. Ale... w dzisiejszych czasach, kto by tam chciał wziąć taką, która i świadectw nie posiada, i dokumenta ma czasem nie bardzo w porządku...

Regulamin domu noclegowego jest bardzo prosty. W miesiące letnie przyjmuje się bezdomnych od godziny 6 po południu do 10 wieczór, zimą wolno im zajmować miejsca już od 4 po południu. Rano i wieczorem otrzymują wszyscy gorącą wodę do picia, (kto może parzy sobie herbatę), o 10 po wspólnej modlitwie gasną światła na salach, tylko lampka, płonąca przed obrazem Matki Boskiej, rozświetla krwawym błyskiem otaczające ciemności. O godz. 8 rano wszyscy zmuszeni są opuścić zakład. Tylko w razie mrozów wyższych ponad 10 stopni wolno bezdomnym i we dnie korzystać z przytułku. Raz na tydzień odbywa się obowiązkowa kąpiel i dezynfekcja odzieży, którą pakuje się do ogromnego kotła. W warunkach, w jakich znajduje się większość bezdomnych, jest to rzecz konieczna.

— Porosłyby brudem inaczej — objaśnia zarządzająca po swojemu — krótko a dobitnie.

Jeśli włączymy w to wszystko, co się powiedziało wyżej, parę zasadniczych przepisów hygieny i porządku, zakaz picia alkoholu, plucia na podłogę, palenia, zakaz kłótni, wyzwisk, krzyków itd. to otrzymamy cały regulamin w przybliżeniu.

Praca w imię Boże prowadzona zawsze daje pewne rezultaty. Przed paru laty w domu na Lesznie panie przyjmowane były od proga zniewagami i obelgami. Niejedna odchodziła, nie zdoławszy słowa przemówić. Dziś każde przyjście „pani" witane jest oznakami prawdziwej radości i serdecznej życzliwości, a każde dobre, cieplejsze słowo wywołuje od razu w znękanych duszach bezdomnych odruch wdzięczności. Tak mało doznały w życiu dobroci i życzliwości, że nauczyły się ją cenić w dwójnasób.

Wanda Kieszkowska.

*) W zakładzie na Lesznie znajdują się cztery duże sale i parę separatek. Odesłanie do oddzielnej sypialni uważane jest za karę.

Matylda Wrede — przyjaciółka więźniów

W artykule pod powyższym tytułem, zamieszczonym w nr 13 Dziś i Jutro przez pomyłkę opuszczono dłuższy ustęp który obecnie dajemy:

Jako dwudziestoletnia dziewczyna Matylda Wrede otrzymała pozwolenie odwiedzania wszystkich więzień i zakładów karnych w Finlandii. Wpływ jej na więźniów był olbrzymi. Szła do nich z sercem i umiała ująć za serce. W największym zbrodniarzu odkrywała nikłe ukryte cechy ludzkie i zobowiązywała go sobie.

Matti Haapoja był postrachem całej Finlandii, zanim wreszcie zbrodnie jego nie przywiodły go do więzienia. Sądzony

był i skazany za dwa zabójstwa, ale chodziły słuchy między szarą bracią więzienną, że musiał ich mieć co najmniej sześć albo siedem na sumieniu. Matti Haapoja miał wzrost i siłę olbrzyma, a piękność dzikiego syna przyrody. Strażnicy bali się go. Choć ciężkie kajdany u nóg i rąk, łańcuchy wokół szyi i pasa czyniły go bezsilnym, nikt nie śmiał się do niego przybliżyć. Matylda nie znała strachu. Odsunąwszy strażników, śmiało weszła do celi. Matti Haapoja leżał na pryczy, zasłoniwszy sobie twarz więziennym kocem. Zbliżyła się do niego, kładąc mu dłoń na ramieniu. Spał? Czy też może czuł się chory... Nie, Matti Haapoja nie spał... Ledwo poczuł dotknięcie cudzej ręki, zerwał się na równe nogi, — ogromny, mocny, groźny. — Kim była i poco tu przyszła, zapytał krótko, utkwiwszy w niej rozognione oczy. Odpowiedziała spokojnie, że chciała się dowiedzieć od niego o losach swych przyjaciół, zesłanych jako i on na Sybir, myśląc w duszy, że jedynym celem jej przybycia było wlać trochę pokoju w to wzburzone, zbuntowane przeciw Bogu i ludziom serce. Matti Haapoja wiedział teraz, kim była.

Spór między igłą, książką a plecakiem o pierwszeństwo w życiu człowieka

— „Łaskawa Pani zapomina że żyjemy w XX w. i że na palcach można policzyć osoby, któreby nadwyrężały wzrok przy igle, zamiast korzystać ze słońca, ciepła i pogody na spacerach i wycieczkach, gdzie wszakże moja obecność jest niezbędna!" — wyrzucił z siebie jednym tchem plecak poirytowany.

— „O przepraszam! pozwolę sobie zauważyć, wolno i z przekąsem przemówiła igła, że gdyby nie ja, waćpan, nie żyłbyś na świecie. A wytłómacz mi pan proszę, jakby się czuły te osoby XX wieku żądne powietrza i słońca, gdyby nikt nie był w stanie stworzyć im odpowiednich toalet, bo jednak bezemnie było by to niemożliwością. Zresztą widać po tobie, żeś nie miał do czynienia z kobietami i nie znasz ich natury. Czyż nie jest dowiedzione, że każda przeciętna kobieta pół życia spędza u krawcowej, a ta czym się posługuje? — odpowiedz pan proszę!"

— „O to do mnie nie przemawia, że w dzisiejszych czasach znajdują się osoby, dla których poza pięknym strojem nie istnieje nic, ale pochlebiam sobie, że wobec wynalazków ostatniej doby i stroje mogłyby istnieć bez waszej współpracy. Trzeba nie czytać dzienników, żeby nie wiedzieć, że np. naprawianie pończoch odbywa się już za pomocą kleju, specjalnie na ten cel spreparowanego. W podobny sposób można sobie z innymi rzeczami radzić. Owszem przyznaję, że za czasów Ludwika XIV wasze istnienie było rzeczą niezbędną". — Igła zachłysnęła się ze złości — „Nie drogi panie, my nie jesteśmy meblem, o którym się myśli jako o starożytnym zabytku. Zresztą, nad czem tu dłużej dysputować? Bezemnie nie obejdzie się nikt podczas gdy o pańskiem istnieniu wiedzą tylko ci, którzy są zmuszeni wami się posługiwać" — „O za pozwoleniem łaskawej pani, spróbuj się zamienić z kimś ofiarowywując mu igłę za plecak, a wtedy przekonasz się o mojej wartości." Igła poczuła się upokorzona, jednak próbowała ratować sytuację z uporem: „Ale przyzna pan, że jeśli chodzi o przewagę ilościową"... — Plecak zaperzył się! — „Proszę Pani, w życiu zwraca się uwagę na jakość, a nie na ilość!"

W toku kłótni nie zauważyli obecności książki, która im się przysłuchiwała w milczeniu, aż wreszcie korzystając z chwilowej przerwy w dyspucie wtrąciła: — „Oboje państwo zapominacie, jaką ja rolę odgrywam w świecie". — „O tak w świecie łysych naukowców!" — pisnęła igła złośliwie". — „Niekoniecznie! Podaruj pan dziecku na gwiazdkę igłę, plecak i książkę z obrazkami, i obserwuj co go najbardziej uraduje. Ale nie o to mi chodziło. Nie chcę wskrzeszać nowej kłótni, bo uważam, że wszystko ma wartość w swoim rodzaju. Pani - Igła jest niezbędna do zajęć praktycznych; pan Plecak — w życiu ale przyznajmy, że całe życie intelektualnie na mnie się opiera. Dla jednych jestem podstawą bytu, dla drugich stanowię jedyną przyjemność życiową. — „O tak i często bywam oblewana łzami na ławie szkolnej!" — zgrzytnął zgryźliwie plecak. — „Przez ludzi rozumiejących naukę tak, jak pan" — odcięła książka i ciągnęła dalej spokojnie: „Przyznacie jednak że podczas gdy wszystko na świecie się przeżywa, ja jedna stale mam jednostkową wartość, stale jestem ceniona i czczona, no a zresztą postaram się was przekonać jednym zapytaniem: Czy spotkaliście kiedy kogo, ktoby kochał swój plecak lub igłę? — Wątpię, ale książkę kochać można!" Plecak i igła spojrzeli po sobie z zakłopotaniem.

Szymanów. Uczennica VII kl.

Jaką najciekawszą książkę przeczytałam w 1936/7 roku?

Trudno odpowiedzieć która książka jest najciekawsza — to jednak pewne, że książką, której się nie zapomina jest A. Fiedlera: „Kanada pachnąca żywicą".

Czy to powieść? pamiętnik? reportaż? Nie wiem jak nazwać ten rodzaj pisania. Nie jest to powieść, owoc fantazji, lecz realny temat życia, nie tęskne wspomnienie, ani powierzchowny reportaż. Książka kipi życiem. Siła i barwa słów oddających to życie porywa czytelnika i każe mu zżyć się z nieznaną puszczą jak z czymś bliskim, drogim, do życia potrzebnym, czymś wielkim i czystym — bo Bożym. Dziś, w okresie warczących i pędzących dookoła maszyn, w okresie oszałamiającego „tempa" — czyli niewytłumaczonego pośpiechu, doznaje się ulgi, gdy czytając tę książkę — znajdzie się człek oko w oko z przyrodą. A ileż myśli nasunie spotkanie z tym samotnikiem, co i zimą nie czuje się w puszczy sam, bo wtedy przebywa z kimś innym. — Kto to? — Pan Bóg, mówi cicho Bronisław... Pan Bóg przestał być dla niego pojęciem abstrakcyjnym. Bóg zszedł z nieba, bierze udział w jego czynnościach, stoi tuż przy nim (str. 34). — Opisy puszczy są prześliczne. Nie, to nie opisy, to skrawki życia puszczy — ziemi, drzew, zwierząt i — ludzi. Ci najbliżsi puszczy, Indianie — to najmilsi. Krzywdę wyrządzili im biali, gdy za skórki futerkowe dali im alkohol... Na szczęście nietylko eksploatacyjną cywilizację niesie biały człowiek ludziom lasu. Są i misjonarze, co bronią przed alkoholem, a dają kolorowym swym braciom coś więcej niż motor, wełnę i mąkę — dają im Boga.

Na temat tej cywilizacyjnej pracy białych wśród Indian chciałabym podyskutować na łamach „Dziś i Jutro" z kimś kto czytał „Kanadę". — Czy autor nie za czarno trochę przedstawia tę eksploatację? H. Opolczykówna.

Najciekawszą książką, jaką przeczytałam w tym roku to: „Lwy Alkazaru" przez K. Timmermaus. Książeczka skromna, nie wielka, ale treść jej przejmująca. Podziwiam nietylko odwagę, bohaterstwo dzielnych obrońców Alkazaru, ale też ich głęboką wiarę, dziecięcą prawie pobożność i rycerską ofiarność wobec słabszych: kobiet i dzieci. H. B.



Pablo. najmłodszy obrońca Alkazaru.

TREŚĆ N-ru:

Warunki prenumeraty: rocznie 5 zł (za granicą 7 zł). — Numer pojedyńczy 30 gr. — Konto P. K. O. „Dziś i Jutro" 404 930. — Redaktor naczelny: Jadwiga Szarska. Red. odpow. i wydawca: Jadwiga Bahr. — Adres redakcji: Warszawa, Łowicka 31. — Administracji: Pokrzywno, p. Krzesiny. — Czcionki i druk: Drukarnia Polska Spółka Akcyjna Poznań, św. Marcin 70.